



TOM FEILING

DROGAMI WOKÓŁ BOGOTY

PODRÓŻE
PO NOWEJ KOLUMBII



**DROGAMI
WOKÓŁ
BOGOTY**

TOM FEILING

**DROGAMI
WOKÓŁ
BOGOTY**

PODRÓŻE
PO NOWEJ KOLUMBII

Przełożyła
Dorota Józefowicz

Tytuł oryginału: *Short Walks from Bogotá: Journeys in the New Colombia*

Copyright © 2013 by Tom Feiling

The translation is published by arrangement with The Marsh Agency Ltd.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Magnus, 2018

Copyright © for the Polish translation by Dorota Józefowicz, 2018

Redakcja i korekta: Primum Verbum

Projekt okładki i stron tytułowych: Marcin Głowacki

Skład i łamanie: Piotr Molski

Druk i oprawa: Drukarnia Read Me
rm.com.pl/drukarnia

Wydanie I
Warszawa 2018

Wydawnictwo Magnus
Seria wydawnicza: Ciepło/Zimno
cieplo-zimno.pl

ISBN: 978-83-950536-5-8
ISBN E-BOOK: 978-83-950536-7-2

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Spis treści

Przedmowa do polskiego wydania książki <i>Drogami wokół Bogoty</i>	7
Podziękowania	10
1. Widok rozciągający się z Bogoty	20
2. Z wizytą u rodziny McCormicków	49
3. Ostatni nomadowie	71
4. Wyimaginowane miejsce pomiędzy Macondo a Medellín . . .	105
5. Wojenne zmagania.	133
6. W dół rzeki, do Mompós	163
7. Powroty do San Carlos	191

8.	
N.N. – nazwisko nieznane214
9.	
Z Valledupar na przylądek231
10.	
Szmaragdowy kowboj259
11.	
Wesołych Trosk i Szczęśliwego Nowego Lęku284

Przedmowa do polskiego wydania książki *Drogami wokół Bogoty*

Przedmowę do polskiego wydania swojej książki *Drogami wokół Bogoty* piszę z ogromną przyjemnością, ponieważ wiem, że Polacy należą do grona najbardziej zapalonych podróżników Europy Środkowej i że ciągnie ich do odkrywania świata, jakiego pokolenie ich rodziców z reguły nie mogło poznać.

Chciałbym zwrócić uwagę na to, że tytuł oryginalnego, angielskiego wydania mojej książki – *Shorts Walks from Bogotá* – niezadko wprowadza czytelnika w błąd. Do wyboru takiego tytułu zainspirowała mnie lektura utworu Erica Newbya, opublikowanego w roku 1958, *A Short Walk in the Hindu Kush*, należącego do klasyki książki podróżniczej. Mając nadzieję uderzyć w ton rodem z Newbya, wziąłem sobie za wzór zawołowane poczucie jego humoru, a tytuł swojej książki umyśliłem jako grę słów. *Shorts Walks from Bogotá* nie jest jednak opowieścią o wędrówkach po wzgórzach otaczających Bogotę (choć w żadnym razie nie uchylałem się od górskiej łążęgi). Jest to w istocie zbiór relacji spisywanych w trakcie moich podróży po całym kraju, których większość skądinąd odbyłem nie pieszo, a autokarem.

Za cel postawiłem sobie napisać książkę, którą ogół czytelników, łaknący wiedzy wykraczającej poza nagłówki gazet, będzie mógł traktować niczym podręcznik o życiu codziennym w Kolumbii,

kraju przeistoczonym – za sprawą wojny z narkotykami, pustych komentarzy w wiadomościach czy staromodnych uprzedzeń do Latynosów – w makabrę. Popularność prezentowanego na Netflixie serialu *Narcos*, w którym udramatyzowano karierę przestępczą Pabla Escobara i jej kres, jest jak najbardziej zasłużona. Narkotyki, brutalna przemoc, porwania oraz szantaże w latach osiemdziesiątych oraz dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia były dla Kolumbijczyków w rzeczy samej codziennością. Czasy te niemniej jednak już minęły, a stereotypowe myślenie o narodzie kolumbijskim wyrządza jedynie długotrwałe szkody, których wielkość zmierzyć jest trudniej, aniżeli policzyć zabitych czy podać dane liczbowe.

Angielskie wydanie książki *Drogami wokół Bogoty* ukazało się po raz pierwszy w 2012 roku, zaś sama opowieść osadzona jest w czasie, kiedy mieszkałem w Kolumbii, pomiędzy drugą połową 2010 roku a pierwszą połową 2011. Kraj od tego czasu zmienił się nie do poznania. Kiedy piszę tę przedmowę, Juan Manuel Santos, od roku 2010 następca Álvaro Uribego Véleza pełniący funkcję prezydenta Kolumbii, kończy właśnie swoją drugą kadencję. Jego prezydenturę zdominowały, zdawało się, niekończące się negocjacje z FARC, czyli największą i najstarszą w kraju uzbrojoną rebeliancką organizacją partyzancką. Porozumienie ostatecznie podpisano w 2016 roku, obiecując Kolumbijczykom pokój oraz gruntowne reformy w polityce kraju.

W marcu 2018 roku Kolumbijczycy wybiorą nową głowę państwa. Ten, kto odziedziczy po Juanie Manuelu Santosie fotel prezydenta, w trakcie swojej kadencji będzie się zmagał z należytych przeprowadzeniem postanowień umowy pokojowej. Tym bardziej że pomimo przypieczętowania porozumienia opinie kolumbijskiego społeczeństwa na temat traktatu są podzielone, tak jak i podzielone są zdania na temat przyczyn wojny domowej, której ów traktat ma położyć kres. Dla jednych umowa pokojowa oznacza poddanie się FARC, czyli układ z gangiem terrorystów handlującym narkotykami, który przez dziesięciolecia szantażował kraj. Dla innych porozumienie to okazja, jaka zdarza się raz na pokolenie, żeby ustosunkowywać się do przyczyn leżących u podstaw konfliktu zbrojnego, ubóstwa oraz zacofania na obszarach wiejskich. Jeśli wojna domowa w Kolumbii może nauczyć czegoś resztę świata, będzie to

mianowicie konkluzja, że miasto ignoruje wieś na własne ryzyko. Brak zgody może i nie wróży krajowi dobrze, ale większość Kolumbijczyków ma serdecznie dość walki, co jest pewnie najbardziej solidną podstawą jakiegokolwiek porozumienia pokojowego.

Zatem po czterech latach poświęconych rozmowom pokojowym, kolejne cztery lata w powojennej Kolumbii zdominuje działanie, albo inaczej – brak działań. Podczas gdy i rząd, i zdemobilizowani żołnierze FARC są niepewni prawdziwych intencji drugiej strony, reszta kraju czeka na to, by przekonać się, w jaki sposób i do jakiego stopnia postanowienia umowy pokojowej zostaną przez obie strony zrealizowane. *Gros* problemów, których rozwiązanie zakłada traktat, nękało kraj od czasu odzyskania niezależności od wpływów Hiszpanii na początku XIX wieku: ubóstwo, zaniedbanie obszarów wiejskich, brak tytułów własności ziemi, jej nierówny podział, wreszcie – prześladowania organizacji Indian, Afrokolumbijczyków oraz stowarzyszeń chłopskich. Pozostałe problemy, takie jak uprawa koki czy przemyt kokainy, są świeżej daty i trudniej będzie się z nimi uporać bez gruntownego przeanalizowania podejścia społeczeństw oraz rządów do nielegalnego handlu narkotykami (w szczególności w Stanach Zjednoczonych).

Kolumbijczycy mają powody do tego, by czuć się dobrze: ich kraj – pod względem kulturowym i geograficznym – jest przecież bogaty, a porozumienie pokojowe ma mu też utorować drogę do bogactwa ekonomicznego. A jednak wkraczają Kolumbijczycy w XXI wiek z bagażem doświadczeń będącym osobliwą kombinacją trudności, niektórych spozierających na nich z za muzealnych gablot, innych tak bardzo bieżących, że wciąż nie wiadomo, jak im zaradzić. Od czasu napisania przeze mnie tej książki ich kraj zaiste zmienił się w ogromnym stopniu i większość zmian jest na lepsze. Aczkolwiek problemy leżące u podstaw konfliktu, a zatem jego źródła, są tak samo realne jak zawsze. Dlatego też podejrzewam, że książka *Drogami wokół Bogoty* jeszcze przez wiele lat pozostanie kompetentnym wprowadzeniem do poznania tego jakże zdemoniżowanego, jakże niedocenionego i jakże ekscytującego kraju.

Tom Feiling
Tokio 2017

Podziękowania

Za informacje na temat historii konfliktu pragnę podziękować Luísowi Eduardowi Celisowi Méndezowi z Corporación Nuevo Arco Iris, Omarowi Gutierrezowi, Michealowi Reedowi z International Center for Transitional Justice, Timothy'emu Rossowi oraz wszystkim w Fundación Fenix.

Za pomoc w zrozumieniu trudnej sytuacji Nukak Makú dziękuję Giovanniemu Lepriemu z Urzędu Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców w Villavicencio, doktorowi Albeirovi Rianowi i Richardowi McCollowi. Za doradztwo na temat wpływu, jaki wojna domowa wywarła na departamencie Meta, podziękowania należą się Edinsonowi Cuelarowi Olverosowi i Karolinie Hoyos z Colectivo Sociojurídico Orlando Fals Borda.

Swoją wdzięczność za wspólne wędrówki w kanionie Chichamochy i zgodę na cytowanie z jego książki *Desde aquellos días* chciałbym wyrazić Carlosowi Gómezowi. Roddy Brett z Universidad del Rosario dotrzymał mi towarzystwa w pierwszych dniach mojego pobytu w Bogocie i skontaktował mnie z Gonzalem Patiñem z Universidad Industrial de Santander, któremu jestem zobowiązany wyrazić podziękowanie za to, iż podzielił się ze mną

swoją wiedzą na temat powstania partyzantki ELN, za co jestem też wdzięczny Joeowi Broderickowi.

Mój wyjazd do San Carlos w Antioquii zaaranżował Oystein Schjetne z Golden Colombia Foundation w Bogocie. Nie doszłoby do niego jednak bez wsparcia pastor Miry Garcíi z CARE w San Carlos oraz Miguela Ángela Giralda. Wycieczkę do Puerto Berrió zorganizował Paul Smith z Medellín, fotograf, który wykonywał niewiarygodnie trudną pracę, niemniej pozwolił mi towarzyszyć sobie podczas pobytu w tym mieście.

Za nawigację po wybrzeżu chciałbym podziękować Carlosowi Sourdisowi, zaś w Valledupar – Stefaniemu Jiménezowi Morze i znawcy *vallenato* Tomásowi Dariowi Gurierrezowi Hinojosie.

Mam dług wobec Nicolása Lazzarelliego, Ralfa Leiteritza z Wydziału Nauk Politycznych Universidad del Rosario oraz Jacinta Oinedy Jiménez z ESAP Boyacá w Tunja za udostępnienie swoich kontaktów i podzielenie się ze mną historyjkami o przemyśle wydobywczym szmaragdów.

Za dotrzymanie mi towarzystwa, tudzież odciążanie mnie od pisania, dziękuję swoim przyjaciółom z Bogoty – Simone Bruno, Tizianie Laudata oraz Nate Russowi, który był też skory udzielić mi wskazówek co do tego, jak przekonać wydawców do publikacji książki. Słowa podziękowania za podszlifowanie mojego hiszpańskiego kieruję do Luz Ángeli Castelblanco. Richardowi Emblinowi z „City Paper” w Bogocie dziękuję za to, że raczył mnie opowieściami z czasów, gdy pracował w „El Tiempo”, i za to, że mogłem raczyć się z nim ginem z tonikiem. Dziękuję Maribel Lozano, która jak zawsze tryskała pomysłami i podsuwała kontakty. Wreszcie, chylę czoła przed Ricardem Andrésem Sánchezem Mosquera, moim najbliższym przyjacielem w stolicy. Wielką przyjemnością było dzielić z nim wędrówki w czasie i przestrzeni.

W Wielkiej Brytanii swojej agentce literackiej Broo Doherty zawdzięczam orędownictwo w sprawie książki, zaś mamie Deirdre Feiling – cierpliwe wysłuchanie pierwowpisu, czytaniego przeze mnie wers po wersie. Dziękuję również Michaelowi Ryanowi, Samowi Lowowi, Adamowi Faussetowi, Geoffowi Grintowi oraz mojemu wydawcy Helen Conford, od których otrzymałem cenne wskazówki na temat pierwszego tekstu książki.

Gdy przywołuję kwoty pieniężne, przeliczam jeden funt brytyjski na trzy tysiące kolumbijskich peso według kursu wymiany walut obowiązującego w trakcie oddania książki do druku¹.

Zmieniłem niektóre nazwiska, żeby ochronić tożsamość osób, które mogłyby być napiętnowane, zastraszane albo i gorzej.

¹ Tłumaczka przelicza 1 funt brytyjski na 1,35 dolara amerykańskiego według kursu wymiany walut obowiązującego w trakcie oddania do druku przekładu (przyp. tłum.).

– A mają tam wieżowce?

W ostatni wieczór, który przed wylotem do Kolumbii spędziłem w Londynie, poszedłem z kumplem na drinka na West Endzie. Mój kolega wiedział, co prawda, że przez ostatnie kilka lat dużo latałem pomiędzy Londynem a Bogotą i że w 2001 mieszkałem tam przez rok. Wiedział, że w Kolumbii nakręciłem dokument o hip-hopie i że pracowałem dla pozarządowej organizacji Sprawiedliwość dla Kolumbii. Jak tylko usłyszał, że tam wracam – mimo że jak dotąd nigdy nie zdradzał tym miejscem większego zainteresowania – puścił do mnie oko i popukał się w nos; to reakcja, do której, tak na marginesie, zdążyłem już przywyknąć.

Wtedy właśnie dotarło do mnie, że mój kumpel wie o Kolumbii tyle co nic. Zdawał sobie sprawę, że to stamtąd pochodzi kokaina. Wiedział też, że kartel Medellín zabił piłkarza Andrésa Escobara, kiedy ten podczas mistrzostw świata w 1994 w meczu Kolumbii ze Stanami Zjednoczonymi strzelił dla narodowej reprezentacji samobójczego gola. Wiedza mojego kolegi wprawdzie nie była dużo gorsza od wiedzy Alana Hansena. Ów komentator sportowy zaledwie dzień po zabójstwie Andrésa Escobara, podczas przeglądu najważniejszych momentów spotkania rozegranego przez Argentynę i Rumunię, (niewinnie) skomentował pomyłkę

argentyńskiego obrońcy w słowach: „za taki błąd należy się Argentyńczykowi kula w łeb”.

Ośmielę się tu wyrazić przekonanie, że większość spośród milionów doraźnych popalaczy kokainy w Anglii, jak mój kolega, wie o Kolumbii tyle, co kot napłakał. Ludzie przyzymkają oczy na handel przeniesiony do toalety w ich osiedlowym pubie z jakichś odległych andyjskich wzgórz. Brytyjska prasa, która standardowo ignoruje wiadomości z Kolumbii, w równym stopniu odpowiada za tę niewiedzę i ignorancję. Owszem, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia fascynująca krwawa wojna, którą toczyły między sobą kolumbijskie kartele kokainowe, stanowiła niezłą pożywkę dla naszych gazet. To ona właśnie nadała stylowi wiadomości reporterskich z Ameryki Łacińskiej ton makabrycznej fascynacji; ton, który odtąd stał się precedensem i po dziś dzień niezmiennie oscyluje pomiędzy komizmem a groteską. Takie jest nasze zamięłowanie do przerażających detali „prawdziwej przestępczości”, że – według Nilsa Christiego, norweskiego kryminologa – przedstawianie zorganizowanej przestępczości w filmach, książkach i grach komputerowych jest obecnie warte więcej niż sama przestępczość zorganizowana². Pablo Escobar stał się współczesną legendą. Tyle że – odkąd zastrzelono go na dachu kryjówki w Medellín w 1993 roku – biznes, któremu utworował drogę, jest mniej widowiskowy i dlatego przestał rzucać się w oczy. Zaś dilerzy kokainy z Kolumbii to już zdezaktualizowane wiadomości.

To samo można powiedzieć o Rewolucyjnych Siłach Zbrojnych Kolumbii, czyli organizacji politycznej FARC³, której już dawno przypisano status „rebeliantów”, potem – „narko-partyzantów”, a w końcu – samych „terrorystów”. Rozrachunki FARC z kolumbijskim rządem to nie intensywna wojna, mimo że trwa już pięćdziesiąt lat. Nie zagraża ona zachodnim interesom. A i statystyki z wojny nie robią na nikim wrażenia – chyba że spojrzy się na nie jako na łączne sumy.

² Zob. N. Christie, *A Suitable Amount of Crime*, Abingdon 2004.

³ FARC – Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia (przyp. tłum.).

To dlatego od jakiegoś czasu zagranicznych korespondentów przenosi się z Bogoty do innych stolic obfitujących w nowinki ze świata. Nowi wydawcy zaczęli absorbować się Meksykiem, do którego ta odwieczna wojna narkotykowa przeniosła bazę z zamiarem rozpoczęcia kolejnego szokującego etapu. Kolumbii pozostała batalia, mało interesująca obcych (większość ludzi nie potrafi nawet przeliterować angielskiej nazwy kraju *Colombia*), i reputacja kraju obfitującego w przestępczość oraz przemoc, które nie mają sobie równych. Reputacja, która jest zarówno demonizowana, jak i ignorowana.

Pracę w organizacji Sprawiedliwość dla Kolumbii rzuciłem w 2005. Wkrótce i ja przestałem być na bieżąco z wiadomościami z Ameryki Łacińskiej. Pomimo wielkich przemian mających miejsce w Wenezueli i Brazylii myślałem wtedy, że być może francuski autor Dominique Moisi miał rację, kiedy pisał, że „Ameryka Łacińska to nie miejsce, w którym rozstrzyga się przyszłość świata, ani też miejsce, w którym może się to urzeczywistnić w najbliższym czasie”⁴. Zaniedbałem hiszpański, wspomnienia się zatarły i poświęciłem uwagę innym sprawom. Wciąż drażniło mnie, że skomplikowane kwestie Kolumbii wrzucano do jednego worka, że kojarzono z tym krajem jedynie handlarzy kokainy, partyzantów i szwadrony śmierci. Ale ów dreszczyk emocji, który przeszył mnie parę lat wcześniej, gdy począłem do reszty zatracać się w tym kraju, jakże obsesyjnie rozdzierającym swoje rany, wydawało się, jakoś przygaś.

Tymczasem pewnego letniego dnia 2010 roku, kiedy ustawiłem się w kolejce po mleko w osiedlowym sklepie, mój wzrok przyciągnęła okładka nowego „Newsweeka”. Po raz pierwszy, zdawało się, od lat Kolumbia była na okładce. Kupiłem magazyn i powlokłem się do domu ze wzrokiem utkwionym w głównym artykule. Czytałem: „Przez ostatnie osiem lat czterdziestopięciomilionowy naród z otumanionego przestępczością i narkotykami przedzierzgnął się w świetnie działające dynamo”. „Twarda polityka narkotykowa i bezkompromisowe ustosunkowanie się do zbirów” prezydenta

⁴ D. Moisi, *The Geopolitics of Emotion: How Cultures of Fear, Humiliation and Hope Are Reshaping the World*, Nowy Jork 2009.

Uribego uratowały kraj od „niemal kompletnej ruiny”. Kolumbia była „stabilna, demokratyczna i przeżywała boom”. Stała się wytypowaną przez przytomnych inwestorów „gwiazdą południa”, jednym z sześciu rynków nadzwyczaj szybko rozwijających się i bez wątplenia „wartych uwagi”⁵.

Pomyślałem, że od czasu, gdy mieszkałem w Bogocie, dużo musiało się zmienić. W 2001 roku uwaga wszystkich zwrócona była na rozmowy pokojowe, które ówczesny prezydent Andrés Pastrana prowadził z FARC. Ostatecznie przeciągające się negocjacje, a także przychylność setek dyplomatów, polityków i dziennikarzy, którzy pospieszyli na odległe równiny departamentu Caquetá, żeby zobaczyć partyzantów na żywo, nie przyniosły żadnych rezultatów. Armia, spędziwszy miesiące na przyglądaniu się rozmowom rządowym, straciła wreszcie cierpliwość. Gdy rząd odwołał negocjacje, Kolumbijskie Siły Powietrzne w ciągu kilku godzin zbombardowały obozy FARC.

Prezydent Pastrana obnosił się ze swoim wieńcem oliwnym. Niemniej jednak naczelny komendant FARC Manuel Marulanda nigdy tak naprawdę nie planował złożyć broni. Zamiast tego eksploatował dobrą wolę milionów Kolumbijczyków, przeciągając rozmowy z rządem, podczas gdy jego sztab powoli rozrysowywał plany militarnego przejścia Bogoty. Tak przynajmniej pisały wówczas gazety.

Gdy rozmowy upadły, pokój stał się w Kolumbii słowem nic nieznaczącym. W 2002 roku, niedługo po tym, jak wróciłem do Londynu, po raz pierwszy od dwudziestu lat wybory prezydenckie wygrał kandydat otwarcie potępiający FARC. Álvaro Uribe nie miał już nawet zamiaru rozmawiać z rebeliantami. Dla niego członkowie FARC byli terrorystami. Poza tym odpowiadali za masową produkcję i handel kokainą, które to tak zdestabilizowały kraj. Gdybyśmy tylko zdołali ich pokonać, argumentował,

⁵ *Colombia Becomes the New Star of South*, „Newsweek”, 16 lipca 2010. Artykuł gloryfikuje Kolumbię jako jeden z rozwijających się rynków CIVETS, którym to wyrokuję się wzrost podobny krajom BRIC: Brazylii, Rosji, Indiom i Chinom. CIVETS stanowią: Kolumbia, Indonezja, Wietnam, Egipt, Turcja i Południowa Afryka.

Kolumbia w okamgnieniu weszłaby na drogę pokoju i dobrobytu. Uribe poruszył czułą strunę u wielu Kolumbijczyków, którzy byli już tak zdesperowani, tak spragnieni życia w pokoju – bez strachu przed porwaniem, grabieżą i szantażem – iż z radością zagłosowali na człowieka, który obiecał im jeszcze więcej wojny.

Kiedy Álvaro Uribe przejmował gabinet, większość obszarów wiejskich w Kolumbii była strefą zamkniętą. Istniało poważne zagrożenie, że nawet główne drogi mogą być obsadzone partyzantami FARC, którzy, szukając okazji do porwania dla okupu, przechwycą przejeżdżających milionerów podczas ataku zwanego *la pesca milagrosa* – cudownym połowem. Kiedy Uribe ustępował z funkcji prezydenta w sierpniu 2010 roku, zaledwie na kilka tygodni przed moim powrotem do Bogoty, sponsorowany przez Stany Zjednoczone dziesięcioletni program wojskowej pomocy warty miliardy dolarów, tak zwany Plan Kolumbia, dobiegał właśnie końca. W rezultacie armia kolumbijska podwoiła swoje siły, natomiast oddziały FARC zostały wyparte w odległe obszary górskie i do głębokiej dżungli. Kiedy mieszkałem w Bogocie w 2001 roku, czterystu spośród mniej więcej tysiąca prezydentów miast i wójtów sprawowanie władzy musiało dzielić albo z lewicową partyzantką, albo z prawicowymi formacjami paramilitarnymi, które wyłoniły się po to, aby partyzantkę kontratakować. Teraz, po dziesięciu latach, mogli oni sprawować władzę, nie napotykając żadnych przeszkód ze strony „ludzi przemocy”. Straszliwa kiedyś liczba zbrodni obniżyła się do poziomu najniższego od dwudziestu pięciu lat. Zamożni Kolumbijczycy przestali żyć w ciągłym strachu przed porwaniem. Prowadząc samochód w górach oddzielających Bogotę od Medellín i Cali, czuli się wreszcie bezpiecznie. Ośmieleni wizją pokoju, mającego nastąpić w wyniku wojny prowadzonej przez prezydenta Uribe, u siebie zaczęli wydawać pieniądze, które do tej pory inwestowali w Miami. W bardzo krótkim czasie linię dachów w trzech kolumbijskich metropoliach zdominowały dźwigi; budownictwo przeżywało boom.

Międzynarodowe firmy nie pozostawały w tyle. Pomiedzy 2002 a 2010 rokiem liczba zagranicznych inwestycji w Kolumbii wzrosła pięciokrotnie, od dwóch do dziesięciu miliardów w skali roku. Na wieść o nieograniczonych zasobach bogactw naturalnych,

jakie Kolumbia może zaoferować światu, podskoczyła gwałtownie wartość bogotańskiej giełdy. Turyści również przekonali się co do naturalnej szczodrości kraju. Tylko w pierwszej połowie 2011 roku liczba Brytyjczyków spędzających wakacje w Kolumbii zwiększyła się o czterdzieści procent⁶.

Wracając do domu, z mlekiem i „NewswEEKiem” w rękę, o mało nie zabukowałem lotu do Bogoty. Nie myślałem tylko o drogach w Kolumbii, które po raz pierwszy od trzydziestu lat były przejezdne. Wiedziałem, że podróżni zwiedzający ten kraj na próżno szukaliby opracowania, które roztrząsałoby jego fascynującą i mało znaną historię. Była to odpowiednia sposobność do napisania książki; szansa, żeby dostać się do kolumbijskich wiossek oraz przysiółków i stawić czoła opowieściom zwykłych ludzi; wszystkiemu, co mają oni do powiedzenia. Jakże mnie świerbiło, żeby być tam na powrót!

Kilka tygodni później siedziałem na tarasie kawiarni w okolicach Hotelu Tequendama w Bogocie. Rozmawiałem z mężczyzną, który był kiedyś członkiem FARC. Kumpel z Londynu wzięły go pewnie za dilerę. Co zabawne, zewsząd otaczały nas wieżowce. Mówiłem mu o braku dociekliwości u obcokrajowców, jeśli chodzi o wiedzę na temat jego kraju; kraju, którego synonim to wciąż – nagminne paskudztwo.

– Kolumbia jest w stanie wojny – oświadczył on stanowczo. – Tyle że wy, Europejczycy, patrzycie na wszystko inaczej. Żadna wojna w Amerykach nigdy nie będzie tak dramatyczna, tak wystawiająca na próbę kręgosłup moralny narodu, jaką dla państw europejskich była druga wojna światowa.

Miał rację. Być może mój kumpel z Londynu, jak inni, nie wiedział o Kolumbii nic, ponieważ rozstrzygające wydarzenia dla losów tego kraju bierzemy za błahe oraz żałosne – choćby poprzez porównywanie ich do tytanicznej walki pomiędzy demokratami, faszystami i komunistami, która zdominowała dwudziestowieczną Europę. Aczkolwiek teraz to nie Europa była ofiarą. Od ponad sześćdziesięciu lat, całe szczęście, nie pojawił się w Europie żaden

⁶ *In Pablo Escobar's Footsteps*, „Guardian”, 13 września 2011.

powód do rozpoczęcia kolejnej wojny światowej. Trudno sobie nawet wyobrazić, co mogłoby pchnąć londyńczyków do tego, by wzięli oręż do ręki. Londyn stał się za to domem dla tysięcy ludzi uciekających przed wojnami, w których wielu chwyciło za broń w przekonaniu, że to jedyne remedium na udreki doświadczane przez ich krajan.

Za młodu myślał tak zapewne i mój towarzysz, były partyzant. Wyjaśnił mi, iż walczył dla swego kraju o „prawdziwą wolność”. Teraz, jako mężczyzna w średnim wieku, mówił, doskonale rozumiał rolę, jaką w tym bezsensownym konflikcie, przez który Kolumbia stała się jedynie uosobieniem zepsucia, odegrała organizacja FARC; jakkolwiek – nie pozostawiało wątpliwości – wciąż niezachwiana była dla niego optymistyczna wiara w Nowy Świat⁷.

– W mniemaniu Europejczyków wagę konfliktu mierzy się ilością przelanej krwi. Kiedy Hiszpanie podbijali Kolumbię, w rzeczy samej, polało się dużo krwi. Ale nie było jej aż tyle, kiedy my, Amerykanie, wyzwaliśmy nasz kraj. Przynajmniej z tutejszych wojen o niepodległość możemy być dumni – powiedział mi. Potem zacytował swojego ulubionego autora: – „Gdyby historii świata nie tworzyło pasmo absurdałnych zbiegów okoliczności, nazwa nadana temu krajowi przed dwoma wiekami, Kolumbia, byłaby nazwą całej Ameryki”⁸ – uśmiechnął się i westchnął...

Gdzieś pomiędzy żarliwą wiarą w Nowy Świat a tragedią tego tu i teraz kryła się, czekająca na odsłonę, opowieść o historii Kolumbii. Dobrze było znowu tu być.

⁷ Nowy Świat – nazwa nadana nowo odkrytym lądom, Amerykom, Australii i Oceanii, w okresie wielkich odkryć geograficznych dla zestawienia ze Starym Światem Europy, Azji i Afryki (przyp. tłum.).

⁸ H.A. Faciolince, *Angosta*, Barcelona 2003, s. 12.

1.

Widok rozciągający się z Bogoty

Nim rozpocząłem swoje eskapady wiejskimi drogami Kolumbii, postanowiłem dopiąć wszystko na ostatni guzik, zorganizować parę rzeczy i zobaczyć się z kilkoma starymi znajomymi. A zatem zapłaciłem dwieście dwadzieścia dolarów za miesiąc z góry i wprowadziłem się do małego mieszkania w La Candelaria, najstarszej, kolonialnej dzielnicy Bogoty. Mieszkanie mieściło się na czwartym piętrze nowego bloku Casa Los Alpes, zaraz za rogiem od Casa Los Andes, którą tworzył kompleks andyjskich domków, gdzie mieszkałem w 2001.

Andyjska wersja dla kulejącego na jedną nogę majstra Eduarda miała niby stanowić model. Tyle że mieszkania nowego bloku Casa Los Alpes, które skonstruował na jej wzór, nie miały nic z rustykalnego uroku. Sufity i dach powstały z wielkich betonowych płyt, pokrytych przez Eduarda barankiem i pobielonych. W oknach były metalowe ramy, w które kulawy majster silikonem wkleił kwadratowe szyby, ułatwiając obfitym zimowym deszczom gromadzenie się pomiędzy szkłem a metalem. Czulem sympatię do Eduarda i nie miałem serca narzekać na jego rzemiosło. Kałuże, które gromadziły się pod oknem, szybko wyparowywały i kiedy tylko padało – czyli, jak wkrótce odkryłem, przez cały dzień, każdego dnia – przywykłem do zasuwania zielonych nylonowych

firanek. Firanki, kółka, na których je umocowano, i drążki także były domowej roboty. Błat kuchenny, kabina prysznicowa oraz jednowarstwowe frontowe drzwi do mego mieszkania zrobione ze stalowej falistej blachy też stanowiły autorski projekt Eduarda.

Właścicielem budynku był stary Włoch o najeżonych brwiach, który lustrował mnie podejrzliwie, ilekroć mijałem go na ulicy. Gdyby istniał ranking wspólnoty mieszkającej na obczyźnie, ów staruszek figurowałby na szczycie, podczas gdy ja plasowałbym się zaledwie na jednej pozycji wyżej od backpackera z dredami z drugiego końca ulicy. Sędziwy pan dzielił malutkie biuro ze swoim bardziej uprzejmym synem Guillermem, który – siłą rzeczy – musiał dbać o publiczny wizerunek ich interesu. W biurze panowie mieli poprzyczepiane pinezkami do ścian różne treściwe bon moty, których tematyka obracała się wokół szaleństwa i niebezpieczeństw światowej konspiracji komunistycznej.

Żeby podszlifować hiszpański, udało mi się na miesiąc znaleźć nauczyciela. Skupiłem się też na wertowaniu gazet, aby na nowo przywyknąć do zawiłości sceny politycznej. Po ośmiu latach, w sierpniu 2009 roku, Álvaro Uribe, jak dotąd najbardziej popularny w historii republiki, skończył urzędowanie w funkcji prezydenta. Dla swoich zwolenników przez lata był najwspanialszym spośród nowożytnych Kolumbijczyków; hodowca bydła, który swojemu krajowi przywrócił dobre imię. Uznano go za twórcę lojalnej, profesjonalnej armii, mającej odwagę stawić czoła terrorystom. Wyglądało na to, że jego wrogi stosunek do rebeliantów zapewnił Kolumbii pokój i dobrobyt, których lata negocjacji wcześniej zapewnić nie zdołały.

Tymczasem niedługo potem, kiedy zakończył swoje urzędowanie, okazało się, że nie był on wcale czysty jak łąza. Oto, wezwano Uribego przed sąd, aby złożył zeznania w sprawie ekstradycji domniemanych rebeliantów do Stanów Zjednoczonych w celu wydania na nich wyroków za handel kokainą. Protestanci zakłócili wykłady, które na zaproszenie prowadził na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. W Hiszpanii prawnicy przygotowali się do wniesienia przeciw niemu oskarżenia o łamanie praw człowieka. Zaś w Bogocie funkcjonariusze organów wywiadowczych pełniący swoje funkcje za jego kadencji musieli rozliczać

się z *chuzadas*, czyli zakładania podsłuchów telefonicznych, które wywołało skandal. W ostatnim roku drugiej kadencji prezydenckiej Uribe próbował zmienić konstytucję, by móc startować w wyborach po raz trzeci. Koniec końców funkcjonariuszy organów wywiadowczych Kolumbii (i tym samym ich szefa) postawiono teraz w stan oskarżenia w procesie o podsłuchiwanie dziennikarzy, sędziów i politycznej opozycji, którzy ówczesnym zmianom konstytucyjnym się sprzeciwili.

Szykanowanie przeciwników politycznych oznaczało, iż prezydentowi daleko było do dochowania wierności postanowieniom konstytucji, której prawa zaprzysiągł przestrzegać. Z drugiej strony umożliwił on dziennikarzom – jakkolwiek niezamierzenie – docieranie do wiosek, które leżały na linii frontu. Na mojej mapie zielenie, beże oraz ciemne brązy wskazywały na dramatyczne szczyty i przełęcze tego nieprzebytego kraju. Zacząłem się przymierzać do kreślenia trasy...

Pamiętałem Bogotę jako miasto skąpane w andyjskim słońcu. Moja słabość do tej stolicy sprawiła, iż kompletnie zapomniałem, że jest też zimna i wilgotna. Niemal codziennie lało jak z cebra i to tak długo, że wąskie ulice La Candelaria zamieniały się w rzeki, które – okiełznawszy przechodniów bez kaloszy i parasoli – paraliżowały ich na jakimś krawężniku. Wieczorami deszcz w końcu ustawał, a ścieki łykały ostatnie strumienie morza wody. Z ościennych gór spływała mgła, otulając moją dzielnicę grubym płaszczem.

Miasto poza tym – co szybko stało się oczywiste – najwyraźniej przywykło do życia bez centralnego ogrzewania. Dlatego też, mając nadzieję upolować w jakimś sklepie porządny sweter, wybrałem się pewnego ranka na zakupy w okolice placu Simóna Bolívara. Mieli tylko bluzy z kapturem i górę dresów – wyglądało na to, że *bogotanos* mogą żyć i bez wełny. Wskoczyłem więc do autobusu jadącego na północ miasta. Po tym, jak potężne strajki sparaliżowały stolicę w 1948 roku, każdy, kto miał jakieś pieniądze, opuszczał historyczne dzielnice centrum i przeprowadzał się właśnie tam, na północ. Pracownicy banków, ambasad i korporacji również przenieśli się w okolice zadbanych szerokich ulic

z niskim budownictwem z cegły, gdzie w pięknie urządzonych butikach oraz ciastkarniach, stylizowanych na te z Paryża albo Miami, ich żony spędzały teraz całe popołudnia. Pozostawiwszy za sobą połączenie architektonicznej spuścizny Starego Miasta z jego raczej ponurą historią, w zamian decydowano się na spaliny samochodów oraz sadz.

Wysiadłem z autobusu przed Centrum Andyjskim, najbardziej znanym w Bogocie pasażem handlowym. Zacząłem wolno przechadzać się po marmurowych posadzkach pasażu, zerkając powściągliwie na wystawy sklepowe i drogą odzież z importu. Sweter znalazłem w Bennetonie. Za włochatą mieszkankę każdej możliwej ciepłej włóczki (w tym wełny z alpaki, która, zanim upowszechnił się tani azjatycki poliestr, od wieków ogrzewała niemal każdego mieszkańca Andów) zapłaciłem odpowiednik pięćdziesięciu dolarów.

W Zona Rosa, dzielnicy tętniącej nocnym życiem (dwa kilometry kwadratowe wokół Centrum Andyjskiego upstrzone barami i klubami), umówiłem się na spotkanie z byłą dziewczyną. Musiałem zabić trochę czasu, a więc znalazłem stolik, z którego miałem dobry widok na całe atrium, i kupiłem burgera. Zacząłem przypatrywać się klientom. Para bliźniaków w szkolnym wieku, ubrana w podobne mundurki i czapki, wpatrywała się w dwie sztuczne małpki, które szusowały to w dół, to w górę na zielonych elektrycznych lianach. Gdyby nie tropikalne motywy, mógłbym przysiąc, że jestem w Madrycie. Wszyscy ubrani nieskazitelnie nonszalancko spoglądali jeden na drugiego zza grillowanych żeberek i pizzy z nadzieniem. Tę iluzję w Centrum Andyjskim wywoływał, w rzeczy samej, brak biedoty. To oznaczało, że nie było tu mieszkańców gór. Jak igły w stogu siana mógłbyś szukać Czibczów-Muiska, historycznych mieszkańców Bogoty, czy reprezentantów którychkolwiek etnicznych grup wyżyn bogotańskich albo, z jeszcze gorszym rezultatem – czarnoskórych Kolumbijczyków, stanowiących jedną piątą populacji kraju.

Za wyjątkiem sprzątaczk i strażnika nikt nie patrzył w telewizor w kącie, więc kupiłem kawę i dosunąłem swoje krzesło do ich stolika. Prezenterka wiadomości była posągową blondynką o stalowym przenikliwym spojrzeniu. Przyszło mi na myśl, że

jej uroda musi być fortelem na odwrócenie uwagi widzów takich jak ja od ważnych informacji, ale jej relacja okazała się w zasadzie nudna.

Przez lata, mówiła, organizacja FARC była głównym sprawcą porwań tuzinów żołnierzy i funkcjonariuszy policji. Migawka z konferencji prasowej. Generał wojskowy otoczony kamerami i mikrofonami: „Niech FARC wreszcie zda sobie sprawę z tego, że się nam nie wywinie! Nie spuścimy jej z oka! Długa droga przed nami”. Sprzątaczką odchrząknęła głośno i, powłócząc nogami, odeszła z wiadrem i mopem. Strażnik został na miejscu i razem obejrzelśmy więcej programów o lokalnych przestępcach, a także o katastrofach, które przyniosły zimowe deszcze – cały czas z tą samą obsadą apelujących o coś mieszkańców oraz rezolutnych policjantów. Potem audycja niepostrzeżenie przeszła w codzienny skrót najważniejszych plotek o celebrytach, *Farándula*, prowadzony przez smukłą kobietę, którą można było wziąć za bliźniaczą siostrę prezenterki wiadomości.

Młoda, może dziesiętnastoletnia dziewczyna zapytała, czy może się dosięść do mojego stolika. Skinąłem głową i popatrzyłem na nią. Uderzyło mnie, z jak niespotykaną pośród Kolumbijczyków wytwornością zabiera się za jedzenie swojej zupy. Być może to jej nieskazitelna skóra, może aparat ortodontyczny, a może jej długie smukłe ramię, ale była niczym Japonka. Dziwacznie było tak siedzieć bez słowa, zwłaszcza że stolik był bardzo mały, więc zapytałem ją o nazwę zupy.

– To *ahuyama* – odpowiedziała. Nie znałem tego słowa; jak później sprawdziłem, była to zupa kabaczkowa.

Miała na imię Katalina i mieszkała na ekskluzywnym osiedlu Los Rosales, które tworzył nowoczesny kompleks budynków wzniesionych z czerwonej cegły na niższych zboczach północnych wzgórz. Kiedy powiedziałem jej, że zatrzymałem się w La Candelaria, odparła przejęta, że ona nigdy nie zdecydowałaby się na tamtą część miasta, że bałaby się wychodzić na ulicę, zwłaszcza po zmroku. Na ów komentarz przedstawicielki zestrachanego kwiatu młodzieży miejskiej, która chroniła się tu, w swoim sanktuarium, uśmiechnąłem się tylko i westchnąłem z pobłażaniem. Dla ludzi jak Katalina biedni są trochę jak duchy: z założenia – wrogo